OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 17 (29) Listopada 1865 roku.

Nr 48. | Cena w Warszawie **40** gr. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych **5** złp. kwartalnie. (Redakcja przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715). | Rok I.

ADWENT.

Czas cztero lub około czterotygodniowy przed świętami Bożego Narodzenia, nazywa się Adwentem. Kościół się przedstawia jakby w owym czasie, w którym Zbawiciela przyjść mającego oczekiwano. Czyta proroctwo Izajasza, tak jasno i dobitnie przyjście Jego i wszystkie znamiona opisujące, w modłach nieustannie powtarza: „*Niebiosa spuście rosę, obłoki wydajcie sprawiedliwego: niech się ziemia otworzy i rodzi Zbawiciela.*” W końcu dni adwentowych, tem silniéj natęża modły i wołania: „*O mądrości, któraś z ust Najwyższego wyszła, przybywaj nauczyć nas drogi roztropności. O Adonai! przybywaj odkupić nas w mocy ramienia Twego. O królu narodów i pożądany od nich, kamieniu węgielny, przybądź i zbaw człowieka, któregoś z gliny utworzył. O Emanuelu (znaczy Boże z nami) królu i prawodawco nasz, oczekiwany od narodów i ich Zbawicielu! przyjdź zbawić nas, Panie Boże nasz!*



Jan Kochanowski.—(str. 382, szp. 1).
(Rysował Gerson—wycięto w drzeworytni Przyjaciela Dzieci).

Kościół Święty w tym czasie, okazuje się jakoby w smutku pogrążonym: dla tego ubiory kościelne, ton śpiewów, smutek wyrażają; nie śpiewa się w czasie Summy hymn anielski *Gloria in excelsis*, ani na jutrzni *Te Deum*. Organy milczą, wesela i tańce są zakazane. Jest to czas skupienia ducha, goretszych modłów i umartwienia. Jest to jakby mały post, na podobieństwo wielkiego, przed Wielkanocą. Dawniéj był zwyczaj pościć przez cały Adwent, dziś zaś tylko w środy, piątki i soboty przez cały Adwent post jest nakazany.

Wszystko w tym czasie Adwentu zmierza do tego, aby wierni głęboko uczuli i uznawali, w jak okropnéj toni zostawał rodzaj ludzki po swym upadku w Raju, jak dlań był potrzebnym i pożądanym Zbawiciel, a następnie przez miłość, męki i życie bogobojne, zawdzięczał nieskończone Jego miłosierdzie; jak nie mniéj, aby uczcili bliższe chwile Jego narodzenia, gdy zostawał w żywocie matki.

Z okazji rozpamiętywania pierwszego miłościwego przyjścia Zbawiciela na świat, przypomina także kościół wiernym przyjście Jego powtórne na sąd, przyjście straszliwe, obudzając tym sposobem w ich sercach z nadzieją, bojaźń zbawienną. Kościół Święty, od adwentu rozpoczyna rok swój kościelny, i zaczyna czytać w pacierzach księgę Izaijasza, jako symbol odrodzenia świata w Jezusie Chrystusie.

W tym także czasie cała historja Ś-go Jana Chrzciciela, jako przysłańca Messjaszowego, jest wyczerpniętą.

Msza w Adwencie rano przed świtaniem śpiewana, nazywa się Roratami, dla tego iż się zaczyna od tego słowa: „*Rorate coeli*” to jest, Niebiosa spuście rosę. Epistoła w téj Mszy wzięta jest z Izaijasza proroka: „*Oto panna pocznie i porodzi syna i nazwanem*

będzie imię jego Emmanuel." Proza przed Ewangelją, opiewa poselstwo Archanioła Gabrjela do N. Marji Pannny. Ewangelja jest także o poselstwie Archanioła zwiastującego Marji Pannie, *iż pocznie i porodzi syna i nazwie imię Jego Jezus.* W Polsce tylko i w niektórych prowincjach jéj przyległych, w Austrji, w Szląsku, uroczyście i we wszystkie dni nawet obchodzi się to nabożeństwo. Ta msza Roratami zwana, znajduje się wprawdzie między wotywami, i w całym kościele w Adwencie jest śpiewana, lecz nie przed wschodem słońca, nie każdego dnia i nie uroczyście, jak w Polsce. Co do dawności, początek onego nie przechodzi XII wieku, gdyż mszały ówczesne nie zawierają w sobie wotywy Rorate. W tymże XII wieku był zwyczaj w Rzymie, w Niedziele adwentowe rano, odprawiania stacji w kościele N. Marji Panny (ad S. Marjam majorem), gdzie Papież ze wszystkiemi stanami przyszedłszy, śpiewał uroczyście Mszę Świętą z hymnem: *Gloria in excelsis.* Podobieństwo jest, iż Polacy lub sąsiedzi ich, a od nich Polacy, z tego przykładu wnieśli u siebie Roraty. Świeca siódma na środku ołtarza, wyższa nad inne, wystawia Najświętszą Pannę, jako jutrzenkę, za którą przybyć miało słońce sprawiedliwości, Jezus Chrystus Zbawiciel z niéj narodzony. Roraty w Polsce upowszechnić mieli, Przemysław pobożny książe Poznański i Bolesław Wstydliwy w wieku XIII.

Jest zwyczaj w niektórych okolicach naszego kraju trąbienia na ligawkach w czasie adwentowym; młodzież wiejska na sporządzonych z deszczułek ligawkach, wygrywa proste, lecz przejmujące tony. Najuroczyściéj występują w Zambrowie, gdzie na *Pasterce* o północy, wiejska młodzież całéj parafii popisuje się ze swoją zręcznością czystego wybierania tonów. Zwyczaj ten, zdaje się mieć związek z owemi słowami pisma: „Canite tuba Sion" śpiewajcie trąbą o Syonie. Sąd ostateczny, który nam w Adwencie przypominają, ma także z trąbą pewien związek.

Adwent jest także czasem, gdzie prządki po wsiach schodzą się na długie jesienne wieczory: tam sobie prawią powiastki o zbójcach; o trzech braciach, dwóch mądrych a jednym głupim; o zaczarowanéj księżnie, o pierścieniu który odkrywa tajemnice; przez co prędzéj czas mija, i praca ma iść lżéj. Mybyśmy radzili, żeby sobie raczéj umilano czas powieściami biblijnemi lub śpiewami pobożnemi.

Ks. Józef Osiecki.

JAN KOCHANOWSKI.

Podając wam drodzy czytelnicy obraz i życiorys tego najpierwszego w Polsce i znakomitego poety, zaczynam opis mój od zwrócenia uwagi waszéj na pieśń znaną zapewne w każdym bogobojnym domu naszym—pieśń, któréj prawdziwa wiara ludu, nawet cudowną przypisała potęgę, którą codziennie odmawiacie lub śpiewacie nabożnie, a która nieraz w strapieniu i zgryzocie, prawdziwą ulgę zbolałemu przynosi sercu. Pieśnią tą jest Psalm Dawida, tego najszczytniejszego śpiewaka w starożytności, rozpowszechniony prześlicznym polskim wierszem Kochanowskiego. Któż z was nie zna pieśni: „Kto się w opiekę poda Panu swemu?" Kto z was słodkiem uczuciem jej słów, nie leczył strapionéj duszy codziennemi życia frasunkami i kłopotem; kto podróżując nie używał jéj, niby anioła-stróża na obronę przed złą przygodą, wołając z serca przepełnionego wiarą:

Ztąd wedle ciebie tysiąc głów polęże,
Ztąd drugie tysiąc—Ciebie nie dosięże,
Miecz nieuchronny, a ty przecie swemi
Oczyma ujrzysz pomstę nad grzesznemi.

Owóż sławnego tłumacza téj pieśni, widzicie tutaj oblicze, a o jego życiu i drogocennych dziełach, opowiem wam z tem większą ochotą, iż każde wspomnienie o tym wielkim poecie naszym, każda wzmianka o jego ślicznych pieśniach, prawdziwą jest dla serca rozkoszą.

Jan Kochanawski urodził się w r. 1530 w wiosce ojczystéj Siczynie, w Sandomierskiem. Jeszcze był małem pacholęciem, kiedy Bóg powołał jego ojca do siebie, i maleńkiego Jana zostawił na opiece matki, niewiasty wielce pobożnéj i serdecznie swoje dzieci kochającéj. Cztery siostry i pięciu braci, z których Andrzej, Piotr i Adam także dzieła zostawili po sobie, stanowili rodzeństwo Jana, nad którem on już w pierwszem zaraniu życia górował dowcipem i chęcią do nauki.

Rozsądna matka i troszcząca się o dobre wychowanie dziatek swoich, umiała w dowcipnym Janku rozpoznać i przeczuć wyższe jego powołanie, i dla tego też nad jego ukształceniem umysłowem osobliwie i najbardziéj pracowała. Jan zaś zawdzięczał troskliwéj opiece serca macierzyńskiego, słodycz swego charakteru i osobliwszą tkliwość uczuć, któremi wzbogaciła matka jego dobre serduszko. Bóg i Jego stworzenie, to były najsilniejsze wrażenia, które na jego młodzieńczy umysł wpływały. Zastanawiać się nad Opatrzności Wielkością, i podziwiać prześliczne Jéj twory, w uroczéj rozlane naturze, było najmilszem zatrudnieniem Jana, znajdującego znowu największą uciechę dla duszy i dla serca w nauce i czytaniu książek. Dobra matka, widząc w tem usposobieniu syna swego, wyraźny palec Boży, wskazujący jéj przyszłość zawodu Jana, nie szczędziła wydatków do zaspokojenia potrzeb jego duszy. To też po zaszczytnie i korzystnie ukończonych naukach w kraju, dla dalszego wykształcenia i wydoskonalenia się w językach, których Jan kilka posiadał dokładnie, wysłała go za granicę, najprzód do Niemiec, a potem do Francji i Włoch.

W Niemczech, prócz nabycia wprawy w mowie, więcéj pożytecznéj niż przyjemnéj, i prócz zachęty do głębokich badań w szczegółowych umiejętnościach, w których Niemcy celują, nie odniósł Jan wiele przydatnych dla swego zawodu korzyści, ale nawet szkodliwie na niego wpłynęły rozszerzane tam zasady nowatorskich wyznań, i reform luterańskich, którym jednakże tak nie uległ, jak jeden z jego braci, wraz z nim tamże przebywający. Ten bowiem stał się rzeczywistym protestantem; Jan zaś, chociaż na chwilę obałamuciły go szumne frazesy filozofii protestanckiéj, skorzystał z nich tylko o tyle, że się w zasadach przez matkę w serce jego zaszczepionych, jeszcze bardziéj utwierdził—i nigdy do sporów religijnych, tyle walk wywołujących w Niemczech, nie mięszał się swojem zdaniem. Następnie udał się do Francji. W Paryżu poznał wielbionego naówczas przez całą Francję, pisarza *Ronsarda*, którego wielkość, prawdziwą tylko modą nazwać się godzi, gdyż nie miała ona żadnéj podstawy ani w jego talencie, ani w zasługach, i zbli-

żywszy się do niego, sam także za innemi przyklaskiwał świetności jego muzy.

A ten *Ronsard*, o którym dziś we Francji może już nikt nie pamięta, zasłynął najwięcéj przez to, że do literatury francuzkiéj, wprowadził formę i naśladownictwo starego Rzymu i Grecji, czyli (jak to piszą uczeni)—piśmiennictwu francuzkiemu nadać chciał kierunek klassyczny. O tem Francuzi nie wiedzieli, chociaż to w sąsiednich im Włoszech już się rozwijało na dobre; więc taki *Ronsard* wydał się im nadzwyczaj wielkim, skoro takie myśli rodzą się w jego głowie. Kochanowski zaprzyjaźnił się z tą znakomitością francuzką—i wpływowi *Ronsarda*, który poznał w młodym Polaku niepospolity talent pisania, zawdzięczamy może pierwsze poezje Jana, posełane do kraju i czytane w kółkach poufnych z wielkiem upododaniem. Bądź jak bądź nie były dla Jana stracone chwile spędzone w Paryżu. Praca naukowa, któréj się z zapałem oddawał, rozwinęła bystry jego umysł jeszcze bardziéj, i ukazała obszerne pole zawodu, na który wstąpić nakazywało mu serce i sumienie. Lecz w tych naukach nastąpiła wkrótce przerwa, niestety! bardzo bolesna dla Jana. W tym bowiem czasie przypadła śmierć jego matki, powołująca go napowrót do kraju. Ze strapionem sercem syna, kochającego serdecznie swoją matkę, pośpieszył Jan do ojczystéj swojéj wioski—rzewnemi łzami nad grobem utraconéj zapłakał, i odbieżawszy nauk, na czas jakiś zająć się musiał urządzeniem pozostałości ojcowskiéj i gospodarstwem. Duch jednak wielki nie marnieje, chociaż się zgiąć musi nieraz pod ciężarem przeciwności. Jan urządziwszy cały dobytek rodziny swojéj, jak się należy, powrócił znowu do ulubionych nauk swoich, i w celu ich ukończenia, pojechał wkrótce do Włoch. Najprzód zatrzymał się w Wenecji i tam się uczył u Menucjusza, mając już wtedy lat 20; w roku zaś 1552 przybył do Padwy, gdzie zapisany w album Polaków, kilka lat bawił i uczył się pod *Robertellim*, który go już jako młodzieńca ukształconego i dobrze przećwiczonego w języku i literaturze greckiéj i rzymskiéj, przyjaźnią swoją zaszczycał. W Padwie zaznajomił się i zaprzyjaźnił: z Janem Zamojskim, Łukaszem Górnickim i Nideckim, którzy prawdziwy talent jego poznawszy, cenili go wielce i serdecznie za dobroć charakteru, polubili. Z Padwy jeździł do Rzymu i Neapolu. Można sobie wyobrazić, jaką korzyścią były dla takiego młodzieńca, jak Jan Kochanowski, podróże po uroczéj krainie Włoch, słynących wtedy swemi zakładami naukowemi, jak np. Padewskim—i nadto czarujących młodą duszę ślicznotą nieba i klimatu, w którym zawsze bywa taka urodzajność genjuszu, sztuki i nauki. To też Kochanowski, wzbogacając umysł po akademjach włoskich naukami, bogacił serce swoje melodją uczuć i wdzięków, rozlanych tak obficie w téj ojczyznie Dantego, Petrarki, Rafaela i tylu innych mistrzów i znakomitości. Rozwijał się też prędko talent jego wrodzony, i Kochanowski, jeszcze za pobytu swego we Włoszech, nie tylko od swoich, ale i od cudzoziemców szanowany i wielbiony nawet bywał [1]). Powrót jego do kraju, poprzedziła sława o jego naukach i nadzwyczajnych zdolnościach. Więc gdy już stęskniony za ojczystym krajem, odetchnął rodzinnem powietrzem, król Zygmunt August uprzedzony o nim z zagranicy, natychmiast mu urząd sekretarza przy sobie ofiarował. Do udzielenia téj posady wielce się Kochanowskiemu przyczynił biskup krakowski *Padniewski*, który upodobawszy sobie Jana szczególniéj, namawiał go koniecznie do wstąpienia do stanu duchownegoo. Lecz Kochanowski nie czuł w sobie powołania do tego, i mimo wielokrotnych namów, prośb i sposobów nawet użytych ku temu umyślnie, nie chciał brać na siebie obowiązku, któremu odpowiedzieć godnie nie poczuwał się na siłach. Biskup płocki Myszkowski, który po śmierci Padniewskiego w roku 1572, urząd kanclerza koronnego sprawował, ustąpiwszy Kochanowskiemu bogate probostwo katedralne poznańskie i inne duchowne prebendy, jeszcze mocniéj ale bezskuteczniéj nalegał na niego, żeby przywdział sukienkę duchowną. To udzielenie duchownych prebend świeckiemu, było niejako zniewalającym środkiem do przywdziania *rewerendy;* lecz i tak stało się bezskutecznem, bo Kochanowski nie odmienił nigdy swego zdania. Pobyt przy królu Stefanie Batorym zawdzięczał znowu Piotrowi Myszkowskiemu, o którym sam się wyraził w jednym wierszu, że *go swą hojną ręką podeprzeć raczył;* lecz po usunięciu się Myszkowskiego, umyślił raz na zawsze zerwać stosunki zbyt hałaśliwe dla jego usposobienia i pracy, i osiąść na wsi i spokojniejsze na ustroniu rozpocząć życie. Król Stefan Batory, ceniący wysoko jego przymioty, chcąc go przy sobie zatrzymać, rocznie mu 1,200 złp. naznaczył, wielu go prelaturami obdarzył, i postarał się dla niego o opactwo miechowskie. Lecz Kochanowski nieporuszony w swojem przedsięwzięciu, już oddawna wzdychając do życia spokojnego, wyzuwszy się z duchownych dochodów, osiadł w swojéj ojczystéj wiosce *Czarno-Lesiu*, nie daleko *Zwolenia*, i wkrótce ożenił się z Anną Podlodowską. Piękny to rys charakteru człowieka rozumiejącego swoje powołanie. Skromne życie i mierność nie odstraszyły go od wytrwania w rozpoczętym zawodzie literackim—i zyskowne posady, ni tytuły nie ugięły woli i postanowienia. Tem wybitniéj ta szlachetna strona Kochanowskiego, pokazuje się w następującem zdarzeniu: Jan Zamojski, z którym się Kochanowski zaprzyjaźnił jeszcze w Padwie, nie chcąc, aby tak zdolny mąż, godny zająć jakie wysokie miejsce nawet w senacie, stérał się i marniał na wsi, wyrobił mu u króla Stefana Batorego, życzącego sobie również mieć blisko siebie Kochanowskiego, kasztelanją połaniecką, i z wielką radością przesłał mu do Czarno-lesia na nią nominacją, prosząc o najrychlejsze objęcie nowéj i zaszczytnéj godności. Kochanowski zaś, który zostając kasztelanem, zostawał zarazem i senatorem, według przywilejów państwa, nie przyjął ofiarowanego sobie zaszczytu, ni majętności, ale przestając na swojem, najszczęśliwszym był ze swego ustronia; Janowi zaś Zamojskiemu, naówczas już wielkiemu kanclerzowi państwa, odpisał w następujący sposób: „*Lękam się, aby przemożny kasztelan, jak wstąpi w moje progi, nie zmarnotrawił tego, co zebrał Kochanowski.*” Tak więc zostawszy przy swoim Czarnoleskim zakątku, w zaciszu wiejskiem, przy boku dobréj małżonki, spokojne dni żywota przepędzał. Ażeby zaś nie pomówiono go o niechęć do służby publicznéj, z którą tak uporczywie Król i dostojnicy państwa jemu się

[1]) Pisał tam Kochanowski prześliczne wiersze po łacinie, których zręcznego przekładu dokonał poeta Kazimierz Brodziński.

narzucali, wystarał się o urząd wojskiego sędomirskiego, zwalniający go przynajmniéj od udziału w gwarliwych zebraniach publicznych, i pozwalający na miejscu zamieszkania spełniać podjęty obowiązek. *Wojski* taki był obowiązany czuwać nad wdowami i małoletniemi, oraz służyć pomocą obywatelską żonom, których mężowie sprawami publicznemi zajmowali się, czy to na sejmach, czy w boju. Oddany więc temu urzędowi, oraz przeważnie pracom naukowym i poezji — żył sobie spokojny i szczęśliwy, przymnażając coraz więcéj skarbów drogocennych literaturze ojczystéj, która i dziś jeszcze wszystkiemi jego dziełami szczycić się może przed światem.

Najdotkliwszym ciosem, który może ze wszystkich dolegliwości jakich doznał, największą ranę zadał jego sercu, była śmierć rozkosznéj jego córeczki Urszulki, którą też w przecudnych, wzniosłych i głębokich *Trenach* wyśpiewał.

Od roku 1575 aż do swojéj śmierci w 1585 przemieszkał w Czarno-lesiu, i zostawił sześć córek i jednego syna, który dopiero po śmierci przyszedł na świat. Śmierć Kochanowskiego nastąpiła nagle. Stawając w sprawie brata swéj żony, Podlodowskiego, przed królem, appopleksją tknięty — skonał. Przeżył lat 54; pochowany jest w gotyckim kościele w *Zwoleniu*, w grobie rodziny Kochanowskich. Pomnik ma z czerwonego chęcińskiego marmuru, wyobrażający popiersie: twarz na nim ściągła, broda na piersi spływająca, nos podłużny i więcéj niżeli średni. W ręku trzyma rękawice, niby oznakę piastowanego urzędu wojskiego. Rzeźbiarz jednak nie zadawał sobie pracy w wykończeniu tego portretu—i słyszeliśmy, że teraz dopiero według odlewu zwoleńskiego, zdolna ręka krakowskiego artysty (p. Filippiego), ma wykonać nowe popiersie Kochanowskiego. W Krakowie w kościele księży Franciszkanów znajduje się piękny pomnik tego znakomitego śpiewaka *Trenów.*



Marcinowa z Anusią klęczą na zgliszczach,—(str. 386, szp. 2).
(Rysował Kostrzewski—wyciął na drzewie Kuczyński).

Co do stanowiska, jakie Jan Kochanowski zajął w naszéj literaturze, o tem już stanowczo cały świat orzekł, iż jest jednem z najpierwszych. Pod względem języka jest on ojcem i mistrzem poezji polskiéj: a jako twórca pierwszego dramatu, p. t. *Odprawa posłów* może być śmiało nazwany dla nas tem — czem był *Calderon* w Hiszpanji, *Szekspir* w Anglji, *Kornel* i *Rasyn* we Francji. Poczytując dramat Kochanowskiego, to jest, tę *Odprawę posłów,* za znakomitszy utwór jego pióra, musimy tu wspomnieć o nim słów parę. Treść, stanowiąca wątek jego działania, wzięta jest wprawdzie z dziejów *Grecji;* chodzi o porwanie Heleny i przybycie do Troi posłów żądających jéj wydania, ale cały rozwój dramatu, oraz charaktery w nim występujące, są zupełnie historyczno-polskie. Kiedy ten dramat był granym, wszyscy dorozumieli się przenośni, i wielkiemu twórcy jego, przyklasnęli. Co do formy, zbliża się dramat ten, wykończeniem i jędrnością języka, do wzorowych i doskonałych arcydzieł greckich Eschylesa, Sofoklesa i Eurypidesa. Szczególniéj cechują go to mistrzowstwo i spokój, z jakim działanie się w nim rozwija (lubo bez efektowych intryg i awantur) i dźwięczność języka, w muzyce rytmów nadzwyczaj melodyjnie brzmiącego. Kochanowski dramatem swoim stanał tak wysoko, że go i cudzoziemcy za klassyka poczytali.

Z lirycznych jego utworów na największą zasługują uwagę: *Treny na śmierć córki Urszuli,* i przekład Psalmów Dawida, o którym to przekładzie i Niemcy sami powiadają, że dorównał wielkiemu oryginałowi [1]).

W Trenach przebija się całe jego serce; w każdym tu wierszu mistrzowsko skończonym, miłość ojcowska występuje ze skargą na swoję boleść. Ważnem jest także, iż w tych skargach zbolałego serca nie ma nigdzie wyrzutu woli Najwyższéj, ale owszem poddanie się Jéj prawdziwie chrześcijańskie.

Oto naprzykład, przytaczam ustęp Trenu IV-go:

Jako oliwka pod wysokim sadem,
Idzie z ziemi ku górze macierzyńskim śladem,
Jeszcze ani gałązek, ani listków rodząc,
Sama tylko dopiero szczupłym prątkiem wschodząc,
Tę jeśli, ostre ciernie, lub [rodne pokrzywy
Uprzątając, sadnik ów pod-[ciął ukwapliwy,
Mdleje zaraz—a zbywszy si-[ły przyrodzonéj,
Upada przed nogami matki [ulubionéj;
Tak ci się méj najmilszéj [Urszuli dostało.....

Oto najsilniejszy gniew jego w tym żalu:

Jeślim kiedy nad dziećmi [piórko miał zabawić,
A k'woli temu wieku lekkie [rymy stawić;
Bodajżebych był raczéj kolebkę kołysał,
I z drugimi nieważne mamkom pieśni pisał.

Zaprawdę, że aż przykro, iż szczupłość ram tego pisma nie pozwala się obszerniéj rozpisać o dziełach tego poety! Jest tu taka obfitość materjału do myśli i unoszenia się nad pięknością tworów, że—jeno konieczność zniewala ograniczyć się na króciuchnem zestawieniu prac tego wieszcza z Czarnego-lasu. Psalmy Dawida w przekładzie Kochanowskiego, używane po wszystkich naszych kościołach po dziś dzień, odznaczają się głębokiem uczuciem religijnem i tą prostotą słowa, która najwznioślejsze utwory poetów cechuje.

We wszystkich utworach swoich, jest on zawsze i *wszędzie czuły z serca, norodowy z upodobania* [2]), w wyrażeniu najszlachetniejszych uczuć dziwnie prosty, a rozmaity. Na wszystko patrzał okiem *własnem,* farb nie pożyczał, własne malując uczucia, właściwych z łatwością dobiera wyrazów, i myśli obrazami wyjaśnia. Równie dobrze pisał także i prozą.

Poemata własne (oryginalne) Jana Kochanow-

[1]) Allgemeine Geschichte der Literatür von Johann Scherr.

[2]) Wiśniewski, Tom VII.

skiego są: Treny, Pieśni, Satyr, Proporzec albo hołd pruski; treści historycznéj: Pamięć Jana Tarnowskiego, Zgoda, satyra na kłótliwość i niezgodę, Broda, wyśmiewająca mody, Fraszki—i wspomniony powyżéj dramat: Odprawa posłów.

Tłumaczył zaś: *Psałterz Dawida*, 150 Psalmów zajmujący; trzecią część Iliady Homera, p. t. *Monomachia Parysa z Menelausem;* pieśń *Safony; Anakreona*, sławnego greckiego liryka; Horacjusza; *Fenomena* z greckiego poety Arata; *Szachy* z Łacińskiego *Marka Vidy*.

Jakim był poetą i człowiekiem przez całe życie, możecie się nareszcie przekonać z własnych słów jego, które sobie sam nadedrzwiami w Czarno-lesiu napisał. Wszystkie życzenia wyrażone w tych wierszach spełniły się, przybyła tylko zasłużona chwała, wielbiąca jego imię w całym świecie.

Oto jest ten napis na domu Kochanowskiego:

Panie to moja praca, a zdarzenie Twoje,
Raczysz błogosławieństwo dać do końca swoje;
Inszy niechaj pałace marmu-
[rowe mają,
I szczerem złotogłowiem ścia-
[ny obijają.
Ja Panie! niechaj mieszkam
[w mem gnieździe ojczystem,
A Ty mię zdrowiem opatrz,
[i sumieniem czystem:
Pożywieniem uczciwem, ludz-
[ką życzliwością,
Obyczajmi znośnemi, nie przy-
[krą starością.

Przed domem tym wznosiła się ulubiona *lipa* poety, pod któréj cieniem rad z całą rodziną przesiadywał.

Murowany alkierz Jana Kochanowskiego, w Czarno-lesiu, zamieniono w tych czasach na kapliczkę—i tem należycie poczczono pamięć znakomitego wieszcza.

J. K. Turski.



Basia płakała ciągle.—(str. 386, szp. 2).
(Rysował Tegazzo—wyciął na drzewie Regulski).

WNUCZKA PRZEKUPKI.

(Ciąg dalszy. —Obacz Nr. 47).

Słowa Kunegundy:

Babunia niedługo pociągnie, sama jedna zostaniesz, do łez pobudziły dziewczynę. A Pan Bóg! odrzekła z płaczem i wbiegła na górę pod figurę Zbawiciela; padła na kolana, położyła głowę na słupie, wzniosła ręce do Krzyża i utonęła w modlitwie.

Nie ma rady, myślała Kunegunda, nietracąc wszakże nadziei, że pokusa przemódz musi.

I sąsiadki już zauważyły, że jakiś kawaler w błyskotkach chodzi codzień lub jeździ konno około dworku Marcinowéj; zagląda w nizkie okienko i śledzi kogoś okiem.

— Czego on tutaj błądzi? Mówiła ciekawa pani Józefowa, żona szewca do swéj kumy pani Kazimierzowéj, bednarzowéj spokojnéj bardzo kobieciny.

— Ot, może dla powietrza, może dla zdrowia, zwyczajnie pańskie kaprysy i pańskie choroby.

— Muszę koniecznie wyśledzić, czego on tutaj szuka i co stracił, ale z Marcinową nie przelewki, warem oczy wyparzy, broń Boże czego?

— Anusi nikt głowy niezawróci, pokusa nie przylgnie do niéj, taka poczciwa i rozumna sierotka. Widziałam onegdaj, modliła się z płaczem do swojéj patronki, z jéj oczu spadały na różaniec łezka po łezce; może przeczuwała nieboga, że jakiś wilk na nią zęby ostrzy. Taka stateczna, w dzień powszedni pracuje od ranka do nocy, w święto czyta, pisze i jeszcze młodsze sąsiadki uczy.

— Nie tak, jak córki pani Antoniowéj, co to *hec, hec!* codzień po wieczorynkach, od rana do wieczora brzdąkają na gitarze, z młodzieżą chodzą po grzyby; a matka, choć kiedyś dwórka, głupie babsko z przeproszeniem, chwali się, że jéj córki edukowane i że wyjdą za mąż nie za rzemieślników. Bodaj że Rózia już w grochowym wianku, codzień bywał pan Włodzimierz, objadał pp. Antonich, wykręcał się do Rózi, wymanił u ojca kilkaset złotych, niby na utrzymanie wyższéj posady, i nakrył się lisim ogonem.

— Ongiś, idę do Antoniowéj pożyczyć sito, znajduję gromadę gości w dzień powszedni; dziewczęta wysztafirowane, jak przed dobrem, a rok taki ciężki. Tfu! myślę sobie, Bóg ich odstąpił, nabrali różnych rupieci i kręcą się jak wiatraki. Nie prosiłam sita, poszłam do Marcinowéj, nie zastałam jéj w domu, Anusia siedziała w sionkach! z robótką w ręku, opowiadała dzieciom Jerzowéj o Piaście, jak z kołodzieja został królem, jak aniołowie do niego przyszli, i tak piękne i rozumne mówiła historje, że i mnie starą ciekawość wzięła.

— To panna Barbara, Boże przedłuż jéj życie, tak pięknie kieruje dziećmi, a choć nie poszła za mąż i swoich nie ma, nie siedzi złożywszy ręce, jakto inne stare panny, co od rana do wieczora trzepią pacierze, a nikomu pożytku z tych świętych hultajek.

— Prawdę mówi pani Józefowa, odrzekła kuma, a na te słowa nadeszła pani Stanisławowa, żona patrjarchy murarzy.

— Dzień dobry, zkąd wracasz sąsiadko.

— Z pogrzebu, pochowaliśmy pana Ignacego, siedmioro małych zostawił robaczków.

— Odumarł nieboraczek, pewno ze zgryzoty po starszym synie.

— Sechł od pół roku, i usechł; oj ciężki czas, bied nie zliczyć, łez nie osuszyć. Takiego syna utracić, jakże to nie położyć się w grobie.

— A pan Bóg, a wytrwałość, gdzie? Przerwała nadchodząc Marcinowa. Jak wszyscy we łzach topić się będziemy, a wszyscy pousychamy, grób na grobie usypią, wilcy i niedźwiedzie chyba świat obsiądą. Komuż nie ciężko? Życie jak po grudzie, a żyć potrzeba i tą samą chudobą podzielić się z bie-

dnym. Złóżmy się dla sierot Ignacego, kto co może niech da; jutro przemówię do moich sióstr przekupek, a choć słów jak grochu nasypią, wyliczając biedy, nie zacisną dłoni dla ubogich sierot.

Nie ubliżając nikomu, bądźmy jak mrówki, które lada błazen, lada pusto-domek, nogą rozrzuci, a one znów się zgromadzą i domowisko swe usypią. Nie ubliżając nikomu, lepiéj było za naszych czasów: chleb tańszy, człek zdrowszy, biedy skąpiéj, Bóg łaskawszy, a dzisiaj młodzi starych za nos chcą wodzić, i bryk, bryk! osiądą w błocie.

— Stasiu, idźmy do domu, dzieci czekają na obiad, mówiła żona biorąc go za rękę.

—Nieubliżajac nikomu, baba i kleszcz, to wszystko jedno; co to waspani szkodzi, że pogawędzę z kumem, i że dawniéj było lepiéj. Oto i nasz ksiądz dobrodziéj przychodzi, choć do rany przyłożyć tego człowieka.

— P. Stanisław ma mnie za kataplazmę, odrzekł kapłan witając się z gromadką.

— Za balsam na rany, nieubliżajac nikomu, odpowiedział Stanisław, całując w ręce kapłana.

— O gdybym mógł rany goić, chętniebym się zamienił w plaster. Jest Ten co koi bóle, byle nasza własna wola na zawadzie nie stała. Do szczęsnéj chwili i ciemnych godzin, wiele się przyczynia sam człowiek, nie walmy wszystkiego na złe losy, bo dola człowieka wiele od niego samego zależy.

— A dawniéj, ojcze dobrodzieju, było lepiéj i inaczéj jak dzisiaj.

— Któż temu winien jeśli nie my sami. Próżniactwo, hulanki, przygotowały złe dzisiejsze. Czy nie winne temu matki, czy nie winni ojcowie? Kogo matka z lat dziecinnych nauczyła spełniać przykazania Boże, kogo ojciec ugruntował w cnocie, ten nie przestał być poczciwym i wytrwał w biedach.

— Nie ubliżając nikomu, prawdę jegomość mówisz, jest i naszéj winy, a już i dola taka.

— Ej, nie dola panie Stanisławie, nie jednego podrzucił w górę los błyszczący, i czegoż tam szukał, cielca złotego; a nie jeden wytrwałą pracą i modlitwą, zrzucił z siebie żebraczą suknię a dzieciom zostawił w posagu kęs chleba i wzór poczciwości.

— Nieubliżając nikomu, i nasza pani Marcinowa została sama z wnuczką bez kawałka chleba, a ciężką pracą dobiła się, i poszany ludzkiéj, i jakiéj takiéj wygody. Syn mój Justyn, walny chłopiec, nie zna smaku gorzałki, i do szkół posyłałam chłopca; przeszłego roku, podczas rozlewu Wilejki, uratował dwóch ludzi z wody; już przyłożył rękę do Bożego domu, zmurował dzwonnicę. Otóż to jego mam swatać naszéj pannie Annie, jeżeli pani Marcinowa pozwoli.

Anusia na te słowa zemknęła do izdebki, Marcinowa uśmiechnęła się mile, Stanisławowa pociągnęła męża do domu, i cała gromada rozeszła się w swoją stronę.

Nadszedł dzień Ś-téj Anny, było gorąco i duszno, wszystko zapowiadało burzę; brunet od rana harcował na pięknym koniu, zaglądał w okienko. Kunegunda przyszła powinszować Anusi, a pod wieczór zebrali się sąsiedzi na herbatę do solenizantki. Stanisław przysłał Anusi na węzeł parę gołębi, córki pani Józefowéj parę dropiatych kurek, panna Barbara, *Gawędy Syrokomli;* a o świcie, ktoś położył na ławie pod oknem, bukiet najrzadszych kwiatów, związany złocistą wstążką. Marcinowa twierdziła, że to być musi omyłka, a bukiet odniosła do kościoła, na ołtarz Ś-téj Anny.

Przed północą przypłynęły groźne chmury, błyskawice krzyżowały się po Niebie, kłęby dymu obciągały ziemię, w każdym domu i chałupie, palą się gromnice, wynoszą ziółka święcone, czytają cztery Ewangelje, jęczy dzwonek Loretański. O północy bije piorun po piorunie, wszyscy wzywają miłosierdzia Bożego, opieki Ś-téj Agaty i Ś-go Florjana.

Anusia z babką odmawiają litanję do Matki Boskiéj, a w chwili, gdy się pod Jéj obronę udają, palnął piorun, a w sekundę, gore już dworek sierocy. Zbiegli się sąsiedzi, ratują kufer z odzieżą, Anusia z płomienia unosi dwa święte obrazy, przestraszone gołębie uciekły do Stanisława, została tylko kupa popiołów.

Marcinowa z Anusią zostały bez dachu, klęczą na zgliszczach, i pokorną modlitwą polecają się Bogu. Klon pradziadowy do połowy zgorzał, sterczał pień tylko i niedopalony powój pełzał u nóg jego, krzak różami okryty, zamienił się w czarny szkielet, jak młode serce zgangrenowane występkiem.

Pani Kazimierzowa tak dobrem sercem ofiaruje izdebkę w swoim dworku, że Marcinowa na tymczasowy przytułek przyjmuje z wdzięcznością ofiarę. Anusia w najwygodniejszym kątku lokuje Faustynę, i pociesza babkę, że będzie jeszcze więcéj pracować i wstawać raniéj, i kłaść się późniéj, by na kęs chleba zarobić. Przywlekła się i Kunegunda opłakać nieszczęście, ofiarować swą pomoc, za którą Marcinowa sucho jéj dziękuje.

Nazajutrz brunet, niezastawszy Anusi na placu, poszedł krążyć w około dworku, i jakże się zdziwił ujrzawszy tylko pogorzelisko. Odgadł, że ogień musiał całą chudobę pochłonąć, radując się w duszy, bo tem łatwiejsza wygrana. Wieczorem prosił kolegów do siebie, podzielił się radosną nowinką i odrysował nawet plan domku, jaki ma dla niéj wystawić, a późniéj wyposaży i wyda za jakiego pisarza i basta! Grali w karty, pili szampana, a z ust opienionych winem i grzesznemi słowy, wychodziło imię niewinnéj istoty, która w téj chwili, klęcząc przy łóżku choréj babki, mówiła *koronkę do pocieszenia Marji.* *(Dalszy ciąg nastąpi).*

ŻYCIE W PUSZCZY.

PAMIĘTNIK SPRAWIEDLIWEGO CZŁOWIEKA,

(Ciąg dalszy.—Patrz Nr. 35 do 47).

Przerwał Tomasz i otarł rękawem wielką łzę co mu spadła na wąsy. Basia opuściła ręce na wianek i płakała rzewnie, a gdym się na nią spoglądnął, to mi się tak przykro zrobiło, iż myślałem, że mi już serce pęka. Tomasz zaś uspokojwszy się, tak kończył:

— Wyprosiłem sobie u księdza proboszcza, że poświęcił ten kawałek ziemi, gdzie oto siedzimy, i pochował tu zwłoki mojéj żony. A prosiłem go na klęczkach o to, bom chciał, żeby choć prochy jéj były niedaleko mojéj chaty, żeby choć czasem można zmówić pacierz i wspomnieć o niéj przy tym prostym krzyżu....

Basia płakała ciągle, aż ją wreszcie Tomasz sam uspokoił.

— Moje dziewczę, mówił on do niéj, twoja matka jest w Niebie za swoje życie cnotliwe. Jéj tam

lepiéj, jak tutaj śród trosk i różnych przygód. Nie płacz moje dziecko! Módl się, gdy przykra chwila wypadnie ci w życiu, a módl się o to, byś była taką jak matka twoja była.

Tymczasem wieczór zapadł, Basia powiesiła wieniec na gwoździu, który był w krzyżu na to naumyślnie wbity, ruszyliśmy ku domowi, ale tą razą byliśmy już wszyscy smutni i milczący. Więc Tomasz starał się nas rozweselić, mówiąc:

— No, nie bądźcie mi markotne dzieciska! Daléjże Antku, a zaśpiewajże co, nie bądź taki osowiały!

Więc ja, chcąc Basię rozerwać, zanuciłem naszą rześką śpiewkę, a gdym skończył odezwię się Tomasz:

— No, a cóż ty dziewczyno, nie dasz się przecie Antkowi zawstydzić! Basia myślała chwilę, aż zaczęła rzewnym głosem taką piosenkę gdzieś z Mazurów nucić:

Biedna sieroteńka po świecie chodziła,
Za swoją matulą rzewnie zawodziła;
Aż ci ją napotkał sam Pan Jezus Chrystus:
— Moje biedne dziecko, a gdzie to ty idziesz?
Oj, nie chodźże nie chodź, bo daleko zajdziesz,
A twojéj matuli nigdzie już nie znajdziesz!
Idźże ty dziecino na zielony cmentarz,
Tam twoja matusia z grobu się odezwie.

— A któż to tam puka tak po moim grobie?
— Oj, to ja matulu, dzieciąteczko twoje.
— A pocóż przychodzisz i czemu zawodzisz?
— Oj, weź mnie do siebie bo mi źle bez ciebie.
— Idźże ty dziecino do cudzéj macierzy,
Niechże ona tobie koszulkę wypierze,
I niech cię odzieje i niech cię uczesze.
— Oj, gdy mi ją pierze lecą z niéj paździerze,
A jak mi ją daje, to ciężko mnie łaje,
A jak mnie zaplata, izbę mną zamiata!

Zlecieli na ziemię Aniołowie biali,
I biedną sierotkę do siebie zabrali.

Słuchałem téj śpiewki i tak mi się smutno zrobiło nad własnem sieroctwem, że o mało, żem się nie rozpłakał. Patrzałem się na Basię jak w tęczę, i zdawało mi się, że schodzą biali Aniołowie i biorą ją do Nieba, i sama Basia wydała mi się aniołem, i serce mi mocno biło, i w oczach mi się dwoiło, i sam już nie wiem co się wtedy ze mną działo...... Lecz znać, było to przeczucie od Boga zesłane....

ROZDZIAŁ IV

w którym jest opisana straszna przeprawa z wilkami.

Gdydym chciał spisywać jeden miesiąc po drugim, jeden rok po drugim, to musiałbym często jedne i te same rzeczy powtarzać, tak spokojne i podobne z dnia na dzień życie wiedliśmy w puszczy. Na wiosnę orało się i siało, w późne lato żęliśmy we troje, pod zimę robiło się znowu w roli koło oziminy, a w zimie Tomasz chodził na polowanie i ja z nim czasem, a wieczorami przy świeczce łojówce, uczył nas Tomasz czytać i pisać, albo nam co z pięknych książek przeczytywał.

W jedną tylką stronę była od nas droga do ludzi, to jest od strony Wolicy, a ztąd ze trzy mile do Pińska, miasta dość wielkiego nad rzeką Piną, która jest jakoby odnogą wielkiéj rzeki Prypeci. Zresztą z innych stron była puszcza nieprzebyta. Trudno tam było wiedzieć gdzie kto panem, bo znajdowały się wewnątrz takie knieje i oparzeliska, gdzie ludzka noga nigdy nie stąpała. Zwierza więc było moc wielka, i kto tylko miał jaką taką fuzyjkę, mógł tam bić co mu się podobało, a nawet za wilka ubitego płacono w mieście z urzędu, gdyż bestje te nieraz wielkie wyrządzały szkody. Jak ta puszcza była wielka, dość tyle powiedzieć, że kto chciał mieć sianożęć lub pastwisko dla chudoby, to szedł w głąb' lasów i podpalał drzewa w kilku miejscach, aż się tęga sztuka lasu wypaliła, gdyż w tem miejscu na bezrok ogromna urastała trawa. Lecz Tomasz nie chwalił wcale tego sposobu tępienia lasów. Mówią ludzie: „Nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las.” Ale Tomasz mawiał często, że i największego lasu tępić nie należy, osobliwie na pastwisko, bo się już nie raz ludzie tem zdradzali, myśląc, że im drugi urośnie, a tu tymczasem goła pustynia piaskowa została.

Byłem już czwarty rok u Tomasza, gdy znowu nadeszła zima. Choć to z początkiem grudnia nie było jakoś mrozów, lecz za to śnieg sypał i sypał bez końca, i tak nas wnet nieprzebytemi zaspami do koła zawaliło, żeśmy przez całe trzy tygodnie ani krokiem z domu ruszyć się nie mogli. Basia przędła, ja z Tomaszem naprawialiśmy wozy, to nowe półdrabki robiąc, to świeże sprychy do kół nabijając, gdzie była zwykle głowa brzozowa, sprychy grabowe, a obód ze zgiętéj buczyny, do czego kilku chłopów trzeba było, więceśmy te obody z Wolicy przywozili. Na wozie takim nie było ani kawałka żelaza, a przecież był on mocny i służył dość długo do roboty w polu. A tak to było zwykle przy robocie, że jedno z nas czytało głośno, z któréj z kilku książek Tomasza, a wspomnieć tu muszę, żeśmy z Basią, dzięki Tomaszowi, dobrze już czytać umieli. *(Dalszy ciąg nastąpi)*

UŁAMEK.

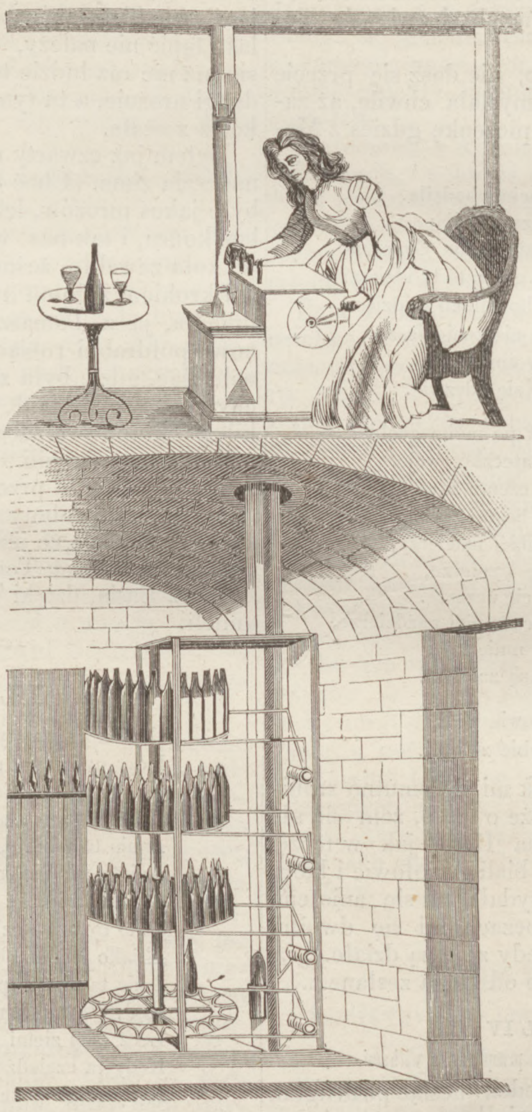
Gdziekolwiek myślą twoją uderzysz,
I czy uwierzysz człeku, czy zmierzysz,
Po całym świecie znajdziesz ład wszelki,
Bo świat jest Boży, a Bóg jest wielki!
A nie to wielkie, co bywa dumne,
Ani to wielkie, co ludziom szumne,
Jeno to wielkie, w co ludziom wierzyć;
Jeno to bywa człeku bezpieczne,
A jako dzieło Boże, jest wieczne!
I nie ta ziemia przed inne sławna,
Kędy jest wiele mnogości zdawna,
Lecz onéj ziemi przed inne chwała,
Kędy ta czeladź Pańska dojrzała,
Kędy człek poznał Boga na Niebie,
A świętą prawdę daną ze siebie.
A w onéj ziemi to znów najpierwsze,
Co ci od pieluch było najszczersze;
Więc wiara twoja, więc dom dziadowy,
Więc one wdzięczne stare dąbrowy,
Więc i mogiły, gdzie ojców kości!
Toć twoje skarby, toć twe miłości,
Bo wszystko minie, a to zostanie!

Wincenty Pol.

Maszyna wynosząca butelki z piwnicy.

Maszyna ta patentowana we Francji, wynosi w mgnieniu oka z piwnicy na nieograniczoną wysokość wszelkiego gatunku napoje będące w bańkach, lub jakiegokolwiek kształtu butelkach. Przyrząd ten od-

daje znakomite przysługi wszelkim większym zakładom tego rodzaju, jak kawiarniom, handlom win, piwa, restauracjom i t. p. Jest on konstrukcji prostéj a bardzo dowcipnéj, gdyż natychmiast przez jeden otwór podaje na żądania wszelkie trunki w butelkach, przez co oszczędza utrudzającego chodzenia po kilkaset razy jak w dużych zakładach do piwnicy, aby żądany napój przynieść. Kilka zaś minut wystarcza, aby ten przyrząd zaopatrzyć w butelki w piwnicy, któreby potem na żądanie same przez otwór wychodziły. Maszyna ta taniéj kosztuje jak pompki do podnoszenia płynu, a jest o wiele od nich dogodniejszą; nie psująca się łatwo, a przytem nie wymagająca żadnych starań koło utrzymywania w czystości. Nie zajmuje więcéj nad dwa łokcie kwadratowe powierzchni w piwnicy i niepotrzebuje w pokoju jak ustawienia niewielkiéj szafki, która przytem dowolnie może stać się nawet ozdobą zakładu. Maszyna ta ułatwia nadzwyczajnie kontrolę, gdyż można sobie najściślejszy zdawać rachunek o liczbie butelek, codzień sprzedawanych. Nadto przyrząd ten gdzieś w jakim zakładzie zaprowadzony, spełnia tę wielką dogodność właścicielowi, że od swéj piwnicy nie potrzebuje nikomu klucza powierzać, bo żądane butelki same z niéj wychodzą. Maszyna ta łączy w sobie wielką prostotę, największą wygodę, zupełną kontrolę, a przytem wywiera widoczny wpływ i na samą dobroć trunku, który dopiero co na żądanie wyszedłszy z piwnicy w butelce, posiada w sobie całą świeżość i żadne przymioty nie stracone, kiedy przeciwnie się rzeczy mają z trunkami, przyniesionemi w butelkach na zapas do zakładów, (zwykle nie mających chłodnéj temperatury), a tem więcéj jeszcze pompowanych zaśniedziałą pompką. Od kilkunastu dopiero tygodni te przyrządy otrzymawszy patent, poczęły być sprzedawanemi. Wiele już jednak z nich po różnych zakładach w Paryżu i na prowincji zaprowadzono, i wszyscy nabywcy oddają im jak największe pochwały, i przyznają niezaprzeczone korzyści, jakie z ich zaprowadzenia wypływają. Dowcipnéj téj maszyny dostać można w Paryżu dotąd w jednéj tylko fabryce, mającéj wyłączność ich wyrobu i sprzedaży, a to pod adresem: *Mrs. E. André et Gavean, à Ternes-Paris. Rue des Montagnes.*



Maszyna do wynoszenia butelek z piwnicy.
(Rysował i wyciął na drzewie Kazimierz Kuczyński).

O przyswajaniu roślin.

Prawie wszystkie rośliny użyteczne w Polsce, są roślinami zagranicznemi. Zboża, drzewa, owoce, większa część roślin warzywnych, były przyswojone, i tylko same drzewa leśne są krajowe. Możemy z pewnością powiedzieć, że Polska nie ma jeszcze połowy roślin użytecznych, któreby z pomyślnym skutkiem na naszéj ziemi uprawiać można. Dla przyswojenia krajowi rośliny, potrzeba najprzód zebrać wszystkie wiadomości o klimacie jéj rodzinnym, to jest, do jakiego stopnia dochodzi ciepło i zimno — jaka jest wilgoć potrzebna do jéj życia, jakie wiatry i inne wpływy. Wówczas przystąpiwszy do doświadczeń, trzeba się jeszcze przekonać, czy roślina chociaż się da przyswoić krajowi, przyniesie mu odpowiednie kosztom zyski, i tak np. mak we Francyi bardzo się udaje, jednak opjum z niego nie jest dobre i nie opłaca się pielęgnowanie; toż samo możnaby powiedzić u nas o kukurydzy. Są rośliny i zwierzęta, które niepodobna przyzwyczaić do klimatu nowego, i tak np. koń pierwotnie pochodzący z Arabji, rozmnożył się na całéj powierzchni ziemi, gdy przeciwnie renifer, ten skarb stref biegunowych, okazał się dotąd uporczywym i niepodobnym, mimo wszelkich prób, albowiem zwierzę to choruje, gdy ciepło jest takie, że lód zaczyna się topić. Nie samo jednak ciepło i zimno, oddziaływa na wzrost i krzewienie się roślin, ale dużo wpływa wilgoć i światło; jęczmień dojrzewa na wyspie Feroe (blizko Norwegji), gdy przeciwnie wszystkie próby, przyswojenia go w Islandji całkiem się nie udały; nie możemy tego przypisywać różnicy ciepła, gdyż gatunek ten zboża udaje się w Alten w Laponji, gdzie zimno jest większe niż w Islandji. Ale w Islandji częste, a mało obfite deszcze, niebo pochmurne ciągle, brak światła, są przyczynami nieudania się.

Myśli i Zdania.

— Jeżeli w dobréj sprawie przekonać nie możesz, ufaj że czas przyjdzie na pomoc.

— Dobry musi być człowiek, który cnotliwych wybiera przyjaciół.

— Rzadko nieszczęśliwy ma krewnych, rzadziéj jeszcze przyjaciół.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj —*Redaktor*, Adam Mieczyński.